

ISKIERKI

Bydgoskie

PISEMKO

MŁODZIEŻY

SZKOLNEJ

Nr 2

LISTOPAD

Rok 45/46

POCHYLMY SZTANDARY



*Spowite kitem żałoby,
symbole cierpień bez miary,
pochylmy ze cacią na groby —
zwycięskie, polskie sztandary.*

*Pomorska ziemia serdeczna,
cierpieniem ludu broniona,
niezłomna polskość odwieczna
wytryska z ran twego łona.*

*Pochylmy wszystkie sztandary,
uczcijmy świętej krwi rzeki,
obrońców mowy i wiary —
Bydgoszcz polskiej na wieki.*

Franciszek Łukasik



W SMUTNĄ ROCZNICĘ

Jesień każdego roku przynosi mamie Włodka przykre wspomnienia. Jest w tym czasie dziwnie zamyślona, przesiaduje godzinami w ciemnym pokoju, unika towarzystwa wszystkich ludzi. Nawet Włodek, jej jedyny syn, który cieszy się zwykle opieką czulej ręki matczynej — nie ma do niej przystępu. Dotychczas nie zauważył wcale zmiany w usposobieniu matki w tej smutnej porze roku, w której cała przyroda, zda się, wymierać. Obecnie dojrzały, prawie dorosły (skończył już 12 lat) widzi to, zastanawia się nad przyczyną, nawet domyśla się, dlaczego czuje się mama tak bardzo przygnębiona — a raz spostrzegł, jak mamusia ukradkiem wycierała sływające po twarzy łzy.

Włodek nie ma ojca. Słyszał o tym niejednokrotnie, nie tylko od mamy. O nagłym zniknięciu ojca mówiono często z okazji odwiedzin krewnych. Niektórzy utrzymywali, że ojciec może jeszcze wrócić. Nie nadeszło przecież żadne zawiadomienie o jego śmierci. Inni twierdzili, że ojca rozstrzelano tego samego dnia, jak go wraz z wielu innymi wywieziono z koszar wojskowych ciężarówymi samochodami. Mama Włodka nie ma już żadnej nadziei. Tyłu znajomych wróciło z różnych obozów koncentracyjnych. Nawet tacy, o których przez szereg miesięcy nie było żadnych wiadomości. O ojcu nikt nie umiał powiedzieć czegoś pocieszającego. Nikt go nie widział, nikt jego nazwiska nie wypowiadał — zginął bezpowrotnie. Włodek nie przypomina sobie postaci ojca. Miał lat sześć, gdy dwaj w czarne mundury ubrani mężczyźni wpadli do mieszkania i z krzykiem wezwali ojca do ubrania się, a potem wyprowadzili go na ulicę. Nigdy go już później nie zobaczył. Widywała go jednak matka. Codziennie rano przygotowywała drżącymi rękoma paczkę z jedzeniem i cicho, bez pożegnania wychodziła. Szybkimi krokami zdążała na ulicę Gdańską, do koszar dawniejszego pułku artylerii. Przed bramami czerwonych budynków wyczekiwało dużo ludzi z małymi zawiniątkami w rękach. Przystawała tu i matka Włodka. Czekala, jak inni, godzinami: we mgle przenikającej wilgocią, w deszczu mżącym od nocy i moczącym ubrania — czekała, by choć przez kilka sekund ujrzeć ukochane oblicze, by na zapytanie: — czy mocno biją? — usłyszeć, że dobrze się z nimi obchodzą, że wnet będą uwolnieni, bo przecież im nie złego zarzucić nie mogą. Szczęście oglądania męża nie miało trwać długo. Podczas jednych z odwiedzin, z wyrazem wielkiego niepokoju, szepnęła cicho: — Dzisiaj wywieziono kilku nauczycieli w niewiadomym kierunku. Kazano im się położyć twarzą na dnie ciężarowego auta. Mam dziwne przecucie... Zabierz tę obrączkę — ...

— Jak to? Co ty mówisz? Czy to możliwe? Ty miałbyś także? —

Serce jej stanęło na moment. Uczuła przenikliwy ból, który przesłonił jej oczy gęstą mgłą. Niemiecki wartownik zakrzyczał groźnie: — Precz stąd! Odejść — koniec wizyty! — Ostre żądło bagnetu skierowało się w ich stronę, rozeszli się. Droga do domu wydawała się tym razem niezmiernie długą. Zatopiona w nasuwających się strasznych obrazach, nie widziała nic przed sobą, prócz własnego nieszczęścia. Przypominała sobie wszystko, o czym sobie po cichu z łękiem opowiadano: egzekucje na Starym Rynku, a także tam, w tych koszarach na ujeżdżalni spłynęło dużo niewinnej krwi. Od czasu, jak aresztowano wszystkich bydgoskich nauczycieli, nie zmrużyła więcej oka. Cokolwiek straszno przysnąć się mogło dotychczas tylko w nocy — teraz, z chwilą wkroczenia do miasta niemieckich hord — przejmujące dreszczem sceny rozgrywały się prawie co dzień. Wiedziała tylko jedno: ojciec Włodka znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Chciałaby go uratować, uchronić od okrutnej śmierci. Włodek z mamą modła się: — Boże, nie pozwól zabrać nam ojca. Serce jego tak czyste i bez skazy, przepełnione jedynie gorącą miłością dla ojczyzny i tych niezaradnych, małych dziecięcych dusz. Całe jego życie oddane było tylko prowadzeniu tych małych, mniejszych i tych najmniejszych, „by każdy mógł odnaleźć własną, zwycięską drogę pośród tych licznych, splątanych dróg!“ Dni upływały w ciągłej trosce i niepokoju. Pewnego razu wróciła z codziennej swojej wędrowki błada i jakby nieprzytomna. Tym razem nikt nie zgłosił się po odbiór skromnej paczuski. I tak samo było w dniach następnych.

Blok piąty, w którym internowani byli wszyscy nauczyciele, zlikwidowano. Dopiero po kilku tygodniach nieszczęśliwa matka Włodka dowiedziała się, że 30 października 1939 roku o godzinie 21-ej wywołano 51 nauczycieli, wśród nich jej męża i wyprowadzono do innego bloku. Następnego dnia około godziny 4-tej rano trzema autami wywieziono ich w nieznane — — —

Od tego czasu ślad po ojcu Włodka zaginął.

Minęło sześć koszmarnych, długich lat. Włodek musiał uczęszczać do niemieckiej szkoły. W domu uczyła go matka potajemnie (jest też nauczycielką) macierzystej mowy, historii polskiego narodu, a przede wszystkim kochać swojego ojca, którego sobie prawie nie przypomina, a zna

tak dobrze z opowiadania. Styczeń 1945 roku był kresem zniechęconej okupacji niemieckiej. Otworzyły się cudowne bramy szkół bydgoskich, które pochłonęły w swym słonecznym wnętrzu także Włodka. Chodzili teraz razem do szkoły, do polskiej szkoły: on, jako uczeń, ona — jako wychowawczyni jednej z klas. Włodek uczy się dobrze i serce bije mu głośnie, gdy do klasy wchodzi jego własna, ciągle jakoś zafrasowana mamusia. Chłopiec wie, — nie może pogodzić się z myślą, że między nimi nie ma ojca — — —

W auli szkolnej zebrała się cała młodzież. Dzisiaj we wszystkich szkołach bydgoskich odbywają się żałobne akademie, poświęcone cześci straconych w pamiętnych dniach październikowych nauczycieli. Smutna to rocznica — a najsmutniejsza dla Włodka i jego mamusi. Jeszcze raz wracają przed oczy te wszystkie ciężkie chwile, które przeżyli. Kiedy jeden z wychowawców mówi o okrucieństwie okupantów — chłopiec wie, że mówi i o jego zamęczonym ojcu. Wsluchuje się uważnie w słowa wiersza, recytowanego przez jednego z jego kolegów:

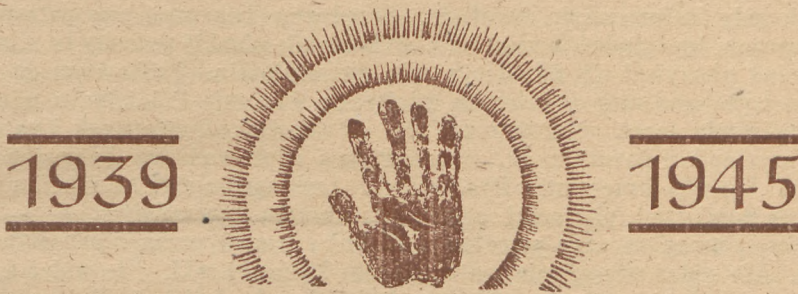
„Wkrwawily się w pola salwami wstrząśnięte,
wydarte życiu ciała powalone wznak...“

Włodek słyszy zupełnie wyraźnie wystrzały karabinowe, które rozdzierają kochające serce ojca. Widzi ciemną plamę krwi na polu, zrównanym gładko po odejściu niemieckich katów. Nie ma świadków egzekucji, tylko pola, wiatry i niebo mogłyby o tym opowiedzieć. Ale pola nie zdradziły dotąd tajemnicy. Choćby Włodek z kolegami chciał w święto umarłych kwiatami jesiennymi i zielonym igliwem ustroić miejsce straceń — uczynić tego nie może. Powtarza więc tylko słowa, płynące z estrady:

„O, pola mileżące pustkami jesieni,
pola mieszczące w sobie nieodkrytą treść,
niech wieher w mgieł płótnach podniesie krew z ziemi
i w lopotach obwieszcza światu straszną wieść...“

Chłopcu jest niezmiernie smutno. Szlochaby najchętniej razem z obok siedzącą w czerni matką, ale on musi być dzielny i mężny. Przynurzył się do ziemi.

Grott Franciszek



LEGENDA

MĘCZEŃSKIEJ BYDGOSZCZY

Halinka szła szybkim krokiem do domu. Przemierzyła ulicę Gdańską (dziś: Aleje 1 Maja), skręciła na Mostową i zamierzała dostać się na Długą. Przy moście, wysadzonym częściowo przez cofające się polskie oddziały, saperzy niemieccy zajęci byli jego naprawą. Z trudnością można było przez tymczasowe przejście minąć posterunek, przy którym stojący żołnierze obrzucali przechodzących zimnym, wywołującym lekkie dreszcze, spojrzeniem. Halinka bała się tych oczu, które zdawały się zabijać samym nienawistnym mrużeniem powiek. Chciałaby być jak najdalej od wszystkiego, co przypominało jej o strasznym rozezarowaniu, jakie musiała przeżyć. Nigdy nie dopuszczała do siebie najmniejszej wątpliwości, że wojna, która zwała się na jej rodzinne miasto wybuchami pierwszych bomb, może zakończyć się nieszczęśliwie. Nie skapila bułek, papierosów i ciastek polskim żołnierzom, odrywającym się od linii frontu. Przerazona początkowo niespodziewaną strzelaniną w pamiętną niedzielę, odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła na ulicy polskie patrole, które niszczyły gniazda ukrytych dywersantów. Wsluchiwała się w odgłosy strzałów i stwierdzić musiała, że stopniowo siła ognia malała, by nad ranem dnia następnego ustać zupełnie. Przypisywała to dzielności wyłącznie wojska. Zdumiała się trochę, gdy w poniedziałek zjawił się na krótko jej najstarszy brat, Tadek, z białą-czerwoną opaską i karabinem przewieszonym przez ramię.

— Wojsko nasze już się wycofało. Stworzyliśmy Straż Obywatelską. Będziemy sami pilnowali porządku i ładu — posłyszała słowa wypowiedziane przyciszonym głosem.

Zauważyła, że mamusia zbladła i pełna przestachu, błagała:

— Zostań tu przy nas. Czasy takie niespokojne. Jeszcze ci się coś przydarzy.

— Bądź spokojna. Wyjdź na ulicę i spójrz — harcerze, harcerki, sama młodzież, „bydgoskie orleTA“ bronią miasta, a starsi mają siedzieć w domu?

Ostatni raz wtedy widziała brata i nie przypuszczała, że już go więcej naprawdę nie zobaczy. Kiedy na ulicy Długiej pokazali się pierwsi niemieccy żołnierze, struchlały obie. Nie było przy nich Tadka. Nie wrócił ani tego wieczoru, ani dnia następnego.

Minęły cztery dni. Przyszła sobota, 9 września. Nie wytrzymała dłużej mama i wysłała Halinkę do cioci, na drugi koniec miasta. Wracała z niczym — i tam nie było brata. Przerząła ją ta droga. Chłostały po twarzy trzepoczące, ogromne chorągwie z dziwacznym, czarnym znakiem. Wzdrygała się cała na odgłos ostrych komend. Czowała się nagle tak obco w tym mieście, które dotąd wydawało się jej takie własne i bliskie...

Wbiegła właśnie na rozległy plac Starego Rynku, gdy nagle uderzył ją niezwykle widok. Część placu odgradzona była szpalerem wojska. Oczy niewielu przechodniów zwrócone były w kierunku kościoła Pojezuickiego. Stanąwszy na palcach, ujrzała kilkunastu mężczyzn, wśród nich harcerzy, z rękoma założonymi na tył głowy.

Przed nimi ustawiał się oddział żołnierzy. Halinka zbladła, jak płótno, usta zatrzęsły się i dygotały, nogi zeszytywniały i jakby wrosły w ziemię. Chciała uciekać, ale nie miała sił, a równocześnie czuła, że musi tu pozostać. Może rozpozna brata. Przebiega nieprzytomnymi oczyma szereg nieszczyśliwych ludzi, czekających na śmierć. Przebiega raz i drugi. Twarzyczka jej rozjaśnia się nieco. Nie — między nimi nie ma Tadka. Nagle słyszy ostry, jak zgrzyt noża, głos — a potem salwę i widzi slaniające się ciała i słyszy nowy krzyk: „Niech żyje Polska!“ i znowu głośny huk. I widzi postać księdza schyloną nad padłymi z błogosławiącą ręką — i nowy wystrzał różdżera powietrze: ksiądz chwyta się za pierś, slania się, odwraca i rękę opiera o mur...

Halinka krzyknęła przeraźliwie i poczęła uciekać prędko, coraz prędzej, zanosząc się głośnym płaczem.

W domu dziewczynki zapanowało milczenie. Przygnębienie przygniatało wszystkich. Od czasu do czasu rozlegające się salwy przywoływały na usta słowa modlitwy. Opowiadano sobie po cichu, że na murze Miejskiego Muzeum widać krwawy ślad ręki. Twierdzono nawet, że w nocy ślady te promieniowały fosforycznym światłem. Przed gmachem muzeum przesuwały się tysiące ciekawych bydgoszczan, by oglądać to zjawisko. Władze niemieckie poleciły to miejsce zamalować. Ale na próżno. Ślad ukazywał się wkrótce z całą wyrazistością. Próbowano go nakryć warstwą tynku, a w końcu wyrabano mur w czterech miejscach. Procesje Polaków, a nawet Niemców na miejsce kaźni przybierały coraz większe rozmiary. Wystawiono posterunek i za samo spojrzenie w miejsce, gdzie wystąpił cudowny znak, aresztowano i odprowadzano do gestapo.

Tak powstała legenda umęczonej Bydgoszczy. Lud opromienił szlachetną postać kapłana, straconego podczas publicznej pierwszej egzekucji, aureolą męczeństwa. — — —

W listopadowy, ponury wieczór przechodzi Halinka znowu przez Stary Rynek. Nie ma już gmachu muzeum. Nie widać więcej miejsca ze śladem krwawej ręki. Nie widać śladów kul, które przerwały pasmo lat ludzkiego życia. Została tylko fasada kościoła Pojezuickiego. Usunięto już kamienne stopnie, prowadzące na ganek przed wejściem do kościoła, na które runęła głowa brata podczas jednej z dalszych egzekucyj. W murze wyrabano otwory podparte grubymi belkami. Halinka widzi właśnie, jak belki te jacyś ludzie podpalają. Wkrótce ogromny plac oświetlony jest krwawymi błyskami światła. Ogień coraz bardziej wżera się w drzewo. Nagle rozlega się suchy trzask usuwających się murów, a potem ogłuszający huk i powstała ciemność zwiastuje koniec niszczycielskiego dzieła. Kiedy ściany kościoła wała się z łoskotem, hordy młodych niemieckich opętaneów z ogłuszającym rykiem wpadają na tlejące jeszcze zgliszcza, krzyząc: — Zwycięstwo!!

Halinka, wstrząśnięta nowym, przykrym przeżyciem, odwraca się z obrzydzeniem, ze złamanym sercem kierując się ku domowi.

Mijały lata. Napiętnujący grabieżców naszych ziem znak ręki, ukazującej się mimo usiłowań zatarcia — okazał się znakiem, nie mającej ich uniknąć kary. Choć zburzono mury, pamięć o tym żyła wśród mieszkańców grodu nad Brdą i nigdy nie przeminie. Żyła pamięć o tym przez wszystkie ponure lata okupacji, a z nią wiara w sprawiedliwość. I dziś, kiedy potęga niemiecka została rozbita, a winni tylu nieszczyść i nędzy oczekują skazujących ich wyroków — w duszach bydgoszczan w promienistych światłach pali się, jak lampka z ogniem dziękczynnym, obraz cudownego zjawiska, przynoszącego w dniach dla Bydgoszczy najcięższych — tyle ulgi w niewysłownym cierpieniu.

Grott Franciszek



DZIECI WARSZAWSKIE

Rysiek, Feluś, Marysia i Genia byli dziećmi z jednego podwórka warszawskiego. Mieszkali przy ulicy Bagno 4. Rysiek sprzedawał gazety na ulicach. Feluś nosił paki z dworca, a gdy widział policjanta niemieckiego, krzychał:

— Te, panie tymczasowy! Wojnę malarz przegrał — i zniknął za rogiem ulicy.

Marysia i Genia pomagały matce wypiekać ciastka i zanosiły je codziennie na plac Żelaznej Bramy do sprzedaży ulicznej.

Pewnego popołudnia o godzinie piątej, kiedy Niemcy na dobre uciekali przed Rosjanami, słychać było ze wszystkich stron miasta gwałtowną strzelaninę.

— To chyba nasi z organizacji kropią Niemców! — woła Rysiek.

Dzieci pobiegły do bramy. Na rogu ulicy ujrzeli naszych z biało-czerwonymi opaskami na ramionach. Wzdłuż ulicy pod murami przeszedł oddział młodzieży z pistoletami, jeden nawet z „rozpylaczem“, na końcu dwie panienki z noszami i znakiem czerwonego krzyża.

To był początek powstania.

— Trzeba usypać barykadę! — ktoś zawołał.

Wszystko pobiegło na koniec ulicy Bagno pod plac Grzybowski. Dzieci z podwórka również. Rysiek z łopata, Feluś z łomem. Wyważali kamienie z bruku i chodników i w przeciagu paru minut stanęła barykada wysokości dwu metrów.

Dzieci myślały i mówiły już tylko o powstaniu. Rysiek uciekł z domu, w ślad za nim poszedł Feluś, a później poszły Marysia i Genia.

Rysiek i Feluś pilnowali barykady przy pl. Grzybowski. Broni im nie dali, ale kazali pilnować, czy nie idą Niemcy od strony Chłodnej. Marysia poszła do Czerwonego Krzyża. Genia zaś gotowała w kuchni żołnierskiej i wносиła żołnierzom supę na barykady.

Trwało tak już kilka dni. Strzelanina była w mieście coraz gwałtowniejsza. Niebo było czerwone od pożarów, a dym wyciskał nieraz lzy z oczu. Chłopcy się niecierpliwiili, że im bronie nie dawali i że nie wysyłają ich do żadnej „akcji“.

Wtem! Hiii... hiii... hiii... hiii... hiii... hiii...

To „sztukasy“ niemieckie lecą. Jeden, dwa, trzy,... dziesięć!... Nie zliczyli ich chłopcy. Już bomby padają. Huk straszny. Wszystko drży. Sypią się cegły. Podmucha tak, że wszystko zda się zmieść. Pełno dymu. Nic nie widać. Ciemno. Chłopcy nie uciekają. Całym ciężarem ciała tula się do barykady. Kazali jej pilnować przed Niemcami. Więc pilnują.

— Te, Rysiek, żyjesz jeszcze? — pyta Feluś.

— Żyję, żyję.

— Ale sypią!

Po dwudziestu minutach uciszyło się. Szóstka zwalona. Trójka cała runęła. Idą ludzie odkopywać tych, co byli w piwnicy.

Na barykadzie jeden ranny. Marysia z inną koleżanką przychodzi z noszami. Chłopcy pomogli ułożyć rannego, który jęczał cicho. Dziewczęta odnoszą go na Wielką, do punktu opatrunkowego.

Znowu huk i zrobiło się czarno. W ciemnych chmurach błyskają płomienie i sypie się gruz. Feluś dostał kawałkiem cegły w głowę i drobne krople krwi spływają mu po czole.

— Co to? — Tygrys! — woła komendant barykady.

Ktoś przynosi butelki napełnione benzyną. Rysiek łapie dwie i wysuwa się ostrożnie przed barykadę. Kładzie się na ziemi pod kupą gruzu.

Słychać przeciągły zgrzyt. Czołg niemiecki się zbliża. Od czasu do czasu huk. Czołg już tuż. Zbliża się pod barykadę. A tam leży Rysiek. Na bruku między gruzem. Czołg coraz bliżej niego. Już tylko kilka kroków dzieli go od znieruchomiałego chłopca.

Wtem Rysiek zrobił ramieniem koło w powietrzu. Trzyma w ręku butelkę benzyny. Rzuca ją w stalowe cielsko czołga. Buchnął jasny płomień. Czołg się pali. Wyskakują z niego niemieccy żołnierze. Podnoszą ręce do góry. Idą do niewoli. Rysiek skoczył za nimi. Jednemu z pasa wyjmując rewolwer. Doczekał się wreszcie bronie.

Bandura Ludwik

Warszawa

Ze wszystkich stolic najdumniejsza, Warszavo,
ze wszystkich wiernych — najwierniejsze z serc —
do końca trwałaś, na barykadach krwawiąc,
szeregi młodych ścinał wojny sierp.

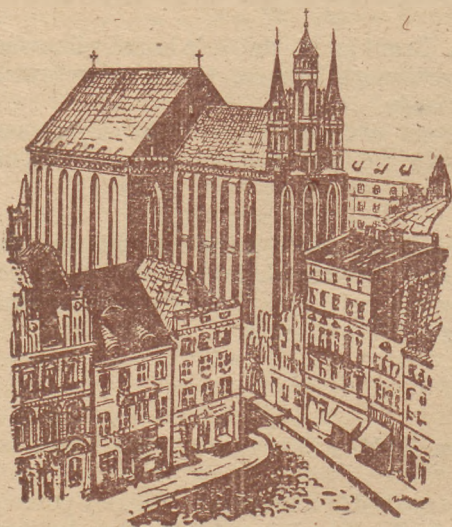
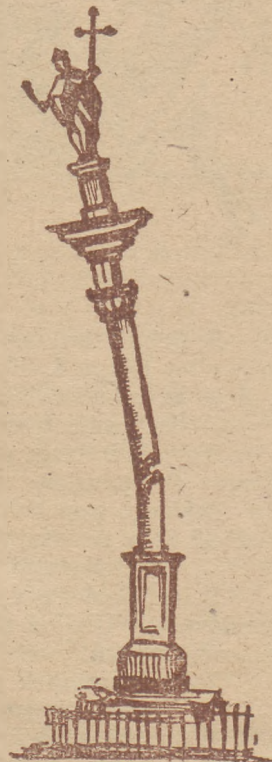
Stolico, zryta wybuchami granatów,
w nawale ogni grzmiał bojowy śpiew,
strumieniami krwi glosiłaś sprzeciw światu,
podziwem sphywał męstwa twego wiew.

Trawiący domy pożar czerwoną luną
napinał zgięty w sercach gniewu łuk —
z kolumny, ściętej gromem, król Zygmunt runął
na roztrzęsiony hukiem armat bruk.

Niosących wolność przerażał zniszczeń widok:
gardziele piwnie czarne, gruzów pył.
Oczodołami okien patrzysz na dni, co przyjdą,
życie płynące wiecznie, jak krew z żył.

Powstaniesz z ruin, nieśmiertelna Warszavo,
wzniesie cię w niebo robotników trud
i wzdłuż ulic twoich napelnionych wrzawą
tor naszych myśli znowu będzie wiódł.

Grott Franciszek



Ojciec i syn

Franek Grabowski śpieszy do domu ulicami Torunia.
— Wróc punktualnie — upomniała go matka rano
przed pójściem do szkoły — zanieśiesz ojcu obiad.

Po lekcjach Franek najchętniej byłby pobiegł nad
Wisłę, na której dnia tego panował bardzo ożywiony ruch.
Lecz poczucie obowiązku zwyciężyło. Posłuszny matce
stawił się na czas. Zjadł przygotowany przez matkę posiłek.
Potem bierze koszyk, w którym starannie poustawiane są
naczynia z potrawą i żwawo rusza w kierunku kościoła
Panny Marii. Z daleka już go witają strzeliste wieżyczki
frontowe pięknej gotyckiej budowli. Podziwia olbrzymiej
wysokości okna i ogromne ściany potężnego rozmiarami
domu Bożego, wobec którego nikną kamienice okoliczne.

Ojciec Franka, szklarz z zawodu, zajęty jest wprawianiem szyb w domu, stojącym w cieniu
okazałego gmachu świątyni. Pracuje na parterze, na którym mieści się pusty na razie sklep. W czasie
przerwy obiadowej przychodzi do szklarza właściciel sklepu, mówiąc:

— No i co, mistrzu? Skończycie dzisiaj pracę? Chciałbym już jutro zacząć gromadzić towary.

— Wątpię, czy uda mi się dziś wprawić szybę w okno wystawowe. To praca bardzo mozolna.
Sam chciałbym skończyć jak najprędzej. Cieszę się, kiedy widzę, jak powstaje coraz to nowa
placówka pracy i że w naszym mieście prawie już zniknęły ślady zniszczenia wojennego. — Franek —
zwraca się do syna — pomożesz mi przy robocie?

— Ależ pomogę, ojczu. Często już pracowałem z tobą i zawsze chwaliłeś moje lekkie, zgrabne ręce.

Obydwa zabierają się do oczyszczenia ramy okiennej z resztek stwardniałego kitu. Następnie
przy pomocy całówki dokładnie mierzą długość i szerokość szyby. Zaznaczają wymiary na szkło.
Dz... dz... dz... dz... dzyń... dzwoni diament o szybę i kraje szkło. Ostrożnie wstawiają szybę w okno

i przymocowują gwoździkami. Trzeba jeszcze szybko uszczelnić. Wielka szklana tafla błyszcząca powierzchnią ściąga wzrok przechodniów, zwiastując im, że powstał nowy sklep, że życie gospodarcze miasta rozwija się z dnia na dzień.

Teraz ojciec każe Frankowi iść do domu.

— Pozwól mi zaczekać na ciebie — prosi chłopak.

Po godzinie wspólnie wracają: ojciec w milezeniu, przerywanym od czasu do czasu krótkim „tak“ lub „nie“, syn opowiadając wesoło. Kiedy mijają pomnik Kopernika, chłopiec zwraca uwagę na palec uczonego, podniesiony do góry i mówi:

— Mikołaj Kopernik jakby do nas przemawiał. Kiedy idziemy do szkoły, to zdaje się nas upominać: — Uczcie się pilnie, a będą z was dzielni ludzie. Kiedy, wracając, płatamy figle, to jakby nam groził. A tobie, co się wydaje, ojczu?

— Że każe ludziom posłuchać swojej wielkiej nauki o obrotach ciał niebieskich.

Joanna Markowska



Jacek gazeciarski

Trzeba przyznać, że przez cały okres wojny Jacek trzymał się dzielnie. Sprzedając na Plantach gazety, czuwał po prostu nad miastem. Więc informował przechodniów o pojawieniu się w tej dzielnicy auta, przed którym trzeba się kryć, objaśniał, kto idzie z przodu, a kto z tyłu i do której bramy „wiał“ należy. A wszystko robił z humorem, nieraz z przyśpiewkami i przy akompaniamencie ustnej harmonijki. Niemcy nie mogli go podejrzewać o nic zdroźnego. W ich mniemaniu był zwykłym krakowskim urwisem, ulicznym gazeciarskim. Był tym, który dźwiga pod pachą cały plik zwycięstw, tryumfów i chwały „wybranego“ narodu.

A przy tym śpiewał i grał.

Czasem śpiewał Jacek o tym królu szwedzkim, który także panoszył się na Wawelu i był pewny siebie, a przecież wnet doświadczył na sobie, że szczęście jest zmienne. Musiał uciekać, by nigdy nie wrócić.

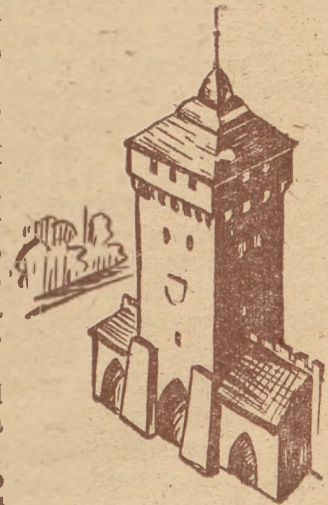
Wesoła była piosenka, więc śmiał się Jacek i wtórowała mu ulica. Bo jak się nie śmiać, kiedy każdy wiedział, o co w tej piosence chodziło. I każdemu robiło się na duszy lżej w tych ciężkich czasach. A były ciężkie, jeżeli zamilkł nawet hejnał na wieży Mariackiej. Tylko Jacek nie zamilkł. Dalej śpiewał i płatał figle Niemcom.

Czy to były figle? Czy figlem nazwać składanie kwiatów na miejscu, gdzie stał pomnik Mickiewicza, Grunwaldu? Niemcy kwiaty deptali, usuwali, pilnowali miejsca — a jednak kwiaty były. Po prostu wyrastały z twardego, kamiennego bruku.

Te kwiaty, czerwieniejąc się krwawą plamą na bruku najpiękniejszego rynku w Polsce, a może na świecie, mówiły ludziom stroskanym bardzo wiele. Niemniej mówiły wrogom, których barbarzyńskie stopy bezczęściły te żywe kamienie naszej przeszłości. Splugawione kamienie wołały twardym echem w stronę Sukiennic, gdzie ongiś dumny Krzyżak na kolanach płaszczył się przed majestatem Polski, aby co rychlej powtórzyć tę scenę, lecz tak, by mądry Stańczyk nie miał powodu do zadumy i troski o przyszłe losy Ojczyzny. A wieże kościoła Mariackiego szeptały do wtóru tym kwiatom i kamieniom swój żarliwy akt wiary i nadziei.

Teraz za Jacka kwiaty śpiewały. Toteż nic dziwnego, że jak nad ludźmi, tak nad nimi znęcał się wróg, kopiąc, niszcząc, skazując na śmierć. Lecz one żyły i po swojemu walczyły z wrogiem.

Stragan matki był opodal kościółka św. Wojciecha. Jednego dnia Niemcy urządzili obławę na stragany. W samą porę nadbiegl



Jacek z gazetami. Stał obok matki i zaczął się „drzeć“. Że Hiszpania wypowiedziała wojnę Aliantom. Że niemiecka łódź podwodna zatopiła ostatni statek angielski. Że niedaleko Smoczej Jamy pojawił się potwór o siedmiu łbach, którego fotografia jest w dzisiejszym numerze. Kupować! Oprócz tego zwycięstwo na morzu, lądzie itd.!

Wszczął się ruch, powstało małe zbiegowisko, ale wystarczające, by zniknął spod straganu świeży wieniec, przeznaczony na płytę Kościuszki. Za chwilę nie było nikogo. Gdy przyszli Niemcy, u przerażonej straganiarki nie znaleźli nic podejrzanego. Kobięcina nie mogła ochłonać ze zdumienia. Jak to się stać mogło, że zniknęły kwiaty spod straganu? Żeby to choć kwiaty! Ale gotowy wieniec ze wstęgami! Chyba cud!

Nie, to jej się w głowie pomieścić nie może. Owszem, cuda były, ale dawniej. Gdy Jan Kanty po Krakowie chodził i różną biedotę cudami pocieszał; gdy Chrystus na Wawelu do Jadwigi przemawiał; albo jeszcze dawniej, gdy pierwsi polscy święci patronowie życie swe dawali za sprawy wieczne oraz doczesne swej ziemskiej Ojczyzny. Tak, cuda się działy u czczonych obrazów w kościele Franciszkanów, Dominikanów czy Karmelitów na Piasku. Ale żeby tu, na rynku! Tego prosty rozum pojąć nie może.

To prawda, że rozum wielu rzeczy i zjawisk pojąć nie może. Choćby tego, że te upiorne czasy niewoli należą już do przeszłości. Że z wieży Mariackiej, jak dawniej, płynie na całe miasto hejnał, budząc w duszy każdego najgłębsze wzruszenia.

Może dlatego zamilkł Jacek. Za niego śpiewa hejnał, śpiewają polskie sztandary na ulicach Jagiellońskiej stolicy, śpiewa samo życie, przewalające się radosnym nurtem u stóp Wawelskiego grodu.

Jacek myśli w zadumaniu — i po raz pierwszy w swym życiu jest w rozterce. Po prostu wcale nie może myśleć. Ani trochę. Bo czyż można rozważać nad tym, aby on, Jacek, miał opuścić swe rodzinne miasto? Czy można?

Tymczasem ojciec z matką uradzili jechać na Śląsk, na grunta. Ponoć ojciec miał kiedyś skrawek ziemi, z którego jednak wyżyć nie mógł, więc przeniósł się do miasta. Tutaj chwycił się różnych zarobków, ale o ziemi nie zapominał. Toteż teraz, kiedy wróciły do Polski obszary, utracone pół tysiąca lat temu, ziemi jest dosyć. Ci, którzy pragną na niej pracować, którzy ją kochają, mogą dostać ziemi, ile zechcą. Więc ojciec Jacka jest szczęśliwy, że najgorętsze pragnienie jego życia zostanie spełnione. Od kilku dni biega po urzędach, przygotowuje się do wyjazdu. Nareszcie będzie kimś! Będzie Piastem, dziedzicem i zarazem pracownikiem własnej ziemi!

Jacka o nic się nikt nie pyta. Czy ma ochotę jechać gdzieś nad Odrę, Niszę — czy nie? Jakby nie istniał. A on żadnej ochoty nie ma. Wsi nie pamięta zupełnie. W jego oczach zawsze był Kraków. Ten dziecinny, wesoły, z Lajkonikiem na czele, czy ten smutny z lat ostatnich. Zawsze Kraków. Przyjazd ze wsi? Coś jak we mgle widzi siebie na furze, jakies toboły, potem nagle dużo, dużo domów, ogromnie wysokich, jakby same kościoły, potem nagle się ściemniło...

Co to? Ołtarz, świece zapalone? Kościół...

Z przestrawem chwytła ojca za rękę: przecież nie ulega wątpliwości, że wjechali furą do kościoła! Co to będzie?

Ale nie nie było. Później dowiedział się, że to nie żaden kościół, tylko Brama Floriańska, najpiękniejszy zabytek starych obwarowań Krakowa. Podarmo najadł się strachu.

W domu już wszystko spakowane i gotowe do wyjazdu.

— Jacek, w drogę!

Lecz chłopiec nie ruszył się. Podniósł na rodziców proszące oczy i powiedział śmiało:

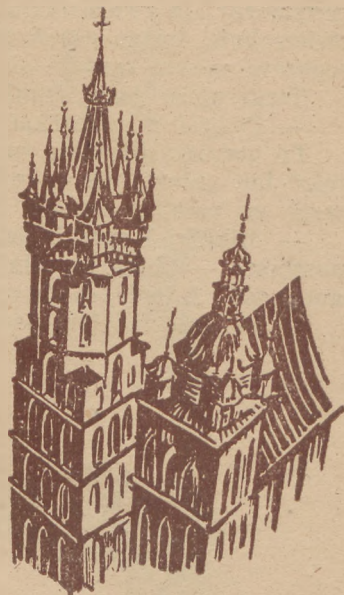
— Ja zostaję w Krakowie.

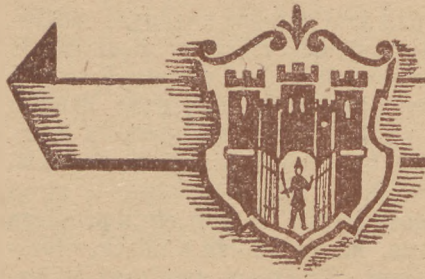
Okazało się, że zapisał się już do szkoły zawodowej i nawet uzyskał pomieszczenie w bursie. Gdy skończy szkołę, obiecał odwiedzić rodziców i pojechać nad Odrę. Ale tylko odwiedzić.

Cóż było robić: rodzice musieli na to przystać. Wiedzieli, że Jacek w Krakowie nie zginie. Tego dnia Jacek po raz ostatni biegł z gazetami ulicą Floriańska, krzycząc bez przerwy:

— Świeże nowiny! Nowiny! Ołtarz Mariacki odnaleziony! Ołtarz Mariacki wróci do kraju!

Na potwierdzenie tych słów odezwał się z pobliskiej wieży Mariackiej, iglicami w słońcu rozszepionej, donośny hejnał południowy.





BÓJ POD NAKŁEM

Było to 10 sierpnia 1109 roku. W grodzie warownym Nakle, oblężonym przez wojska Bolesława Krzywoustego, panował spokój. Na potężnym wale obronnym z ostrokołem od czasu do czasu przesuwały się postacie żołnierzy, pełniących straż lub naprawiających szkody, powstałe wskutek ciężkich uderzeń polskich machin miotających. Polacy, zasympawszy fosę, podsunęli wieże oblężnicze tuż pod wał, aby wylamać wejście do wnętrza grodu. Oblężeni z wielkim tylko trudem zdołali ich odeprzeć, lejąc na atakujących wrzącą wodę i zasypując ich deszczem strzał. Nawet silniejsze niewiasty pomagały w obronie. Spychały ciężkie kamienie na zgromadzonych u stóp wieży wojowników. Niejeden rycerz legł na polu bitwy, niejeden ranny musiał ustąpić z pobojowiska. Mieszkańcy grodu, widząc, że nie zdołają obronić się, prosili o kilkudniowe zawieszenie broni, obiecując się poddać, gdyby spodziewana odsiecz wojsk pomorskich nie nadeszła w oznaczonym terminie. Bolesław zgodził się, chcąc dać wytchnienie wojskom swoim i przygotować się do dalszej walki.

Wśród oblężonych panuje nastrój ponury. Zapasy żywnościowe maleją z dnia na dzień. Zniechęcenie zaczyna zakradać się do serc jednostek, a przyczynia się do tego dziwna wieść o cudownym ukazaniu się wojskom polskim świetlistej postaci młodzieńca, grożącego oszczepem grodowi. Pogłoska ta, podawana od ust do ust, ostatecznie podrywa wiarę w zwycięstwo. Wprawdzie oblężeni jeszcze są poganami. Niemniej jednak słyszeli już o chrześcijańskim Bogu i boją się jego potęgi.

Nagle ruch powstaje na wałach. Pan grodu w otoczeniu rycerzy przybył, aby dopilnować naprawy i wydać rozkazy, dotyczące dalszej walki. Jest dziś w dobrym usposobieniu i otucha wstąpiła w jego serce. Doszła go bowiem wiadomość, że zbliża się liczne wojsko Pomorzan, przybywając z odsieczą oblężonym. Patrzy na obóz polski, myśli chwilę i mówi:

— Wypoczywacie dzisiaj. Nie spodziewacie się tak szybkiego nadejścia naszych braci, a oni tuż blisko. Czyż prawdą jest — zwraca się z zapytaniem do swego otoczenia — że ukazał się Polakom wysłaniec ich Boga, zwiastując nam upadek?

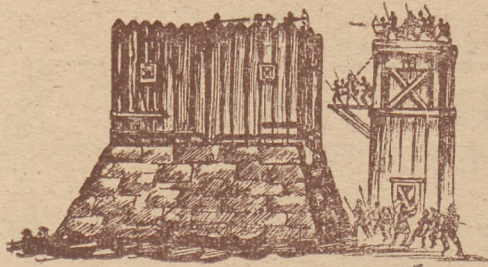
— Tak mówią powszechnie — odpowiadają żołnierze.

W obozie polskim nie słychać zwykłego gwaru ani nawoływań. Nie widać żołnierzy tłumnie krzątających się to tu, to tam. Wielu poszło szukać paszy dla koni. Inni udali się na mszę św., aby godnie obchodzić uroczystość św. Wawrzyńca, męczennika. Niektórzy z pozostałych czyszczą i karmią konie. Kilku żołnierzy zajętych jest porządkowaniem taboru. Gdzieś tam wiszą kotły nad ogniem. Zapach warzonej strawy rozchodzi się wokół. Lecz cisza, panująca w obozie, jest tylko pozorną. Kto baczniej śledziłby odgłosy, usłyszałby raz po raz rozlegające się uderzenia toporów. To żołnierze naprawiają wieże oblężnicze. W niedalekim lasku jakiś podejrzany panuje ruch. Uwija się tam mnóstwo żołnierzy, którzy pod osłoną drzew znoszą pęki chrustu, układają drzewa, wiążą duże snopy słomy. Król bowiem rozkazał, aby nie przerywano przygotowań do ostatecznej rozprawy z oblężonymi. Naokoło liczne stráže pilnie śledzą drogi i ścieżki, wypatrują pojawienia się przeciwnika. Nad słuchują, czy tupot kopyt końskich nie zwiastuje zbliżających się wojsk nieprzyjacielskich.

Właśnie skończyło się nabożeństwo. Tłum rycerzy, zebranych około ołtarza, zakolysał się i zaczyna oddalać się w różne strony obozu. Na czele kroczy sam król. Rycerska jego postać wyróżnia się spośród otoczenia. Jest ubrany w pancerz z naszytej na skórę łuski żelaznej. Na głowie ma szyszak w złoty pierścień ozdobny. Ręką dotyka miecza, zwisającego z boku. Nagle gluche dźwięki rogów rozlegają się od strony gąszczów. Są krótkie, urywane, inne niż zazwyczaj, podobne do bicia dzwonów na trwogę. To stráže dają znać, że zbliżyło się nagle i niespodziewanie wielkie niebezpieczeństwo. Już królowi przyprowadzają konia. W mgnieniu oka dosiada go. Zebrawszy naprędce dwa oddziały, tak do nich przemawia:

— Chłopcy, do broni! Nieprzyjaciel na nas urządził zasadzkę. Walczmy dzielnie, bohatersko! Wiem, że każdy z was woli raczej umrzeć, aniżeli pójść w hańbiącą niewolę. A więc naprzód! Zwycięzimy! Czyż wojska nasze nie widziały cudownej zjawy, grożącej zamkniętemu przeciwnikowi? Czyż nie posiadamy rękojmi niebios, że przy nas jest zwycięstwo? Na bój!

— Na krwawy bój! — odpowiadają gromko żołnierze.



Jak huragan popędził król naprzód z jednym oddziałem i zaczął okrażać nieprzyjaciół, którzy w międzyczasie wynurzyli się z niedostępnych lasów i utworzyli zwarty klin bojowy. Chorąży Skarbimir, dowodząc drugim oddziałem, uderzył w środek klinu. Pomorzanie zamknięci, niby w żelaznych kleszczach, bronili się zaciekle. Rozgorzała krwawa walka. Łucznicy obydwu stron wysyłali na siebie chmury strzał. W powietrzu świszczą kamienie, miotane z proc. Miecz uderza o miecz, włócznia spotyka się z toporem. Tu rycerz ugodzony śmier-

telnie spada z konia, tam żołnierzowi pieszemu strzała utkwiała w nodze, na szczęście niezbyt głęboko. Ze skrzywioną od bólu twarzą wyciąga ją z rany, bo mu przeszkadza w dalszej walce. Słychać chrzęst broni, jęki rannych, kwiki padających koni. Na ziemi piętrzą się ciała zabitych Pomorzan. Gęsta chmura kurzu unosi się nad pobojowiskiem. Pokrył grubą warstwą szaty i twarze walczących, na których leżący się z czoła pot zbił jasne bruzdy.

Pole walki przerzedziło się. Przeciwnik albo zginął, albo ratuje się w panicznej ucieczce. 27 tysięcy Pomorzan legło na polu bitwy. Zwycięstwo Polaków było wspaniałe, przybyłe zastępy nieprzyjacielskie rozgromiono zupełnie. Załoga oblężonego grodu, widząc klęskę swoich ziomków, zaniechała dalszej obrony i poddała się.

Tak Bolesław Krzywousty zdobył gród nakielski, a zwycięstwo to stało się kluczem, otwierającym bramę do dalszych grodów i ziem Pomorza.

Joanna Markowska

FRANEK SAM i



Franek jest zuchem, jakich mało. Zna całą Bydgoszcz, jak swoją kieszeń, do której włożył scyzoryk, a później nie wiedział, co się z nim stało. Srodze się zmartwił, bo cóż on teraz wart sam bez scyzoryka? Jak ich było dwóch, to jest scyzoryk i on,

to razem coś znaczyli. Każdy się z nimi liczył i każdy ich szanował. Było im dobrze. Scyzoryk pomagał Frankowi, a Franek opiekował się scyzorykiem. Nieszczęsna dziura w kieszeni stała się przyczyną Frankowego zmartwienia. Pamięta, że wraz z Heńkiem i Ryśkiem skakali po wielkim stosie cegieł koło szkoły, a później biegał z listem okólnym po wszystkich szkołach. — Ale gdzie scyzoryk? Wśród cegieł nie widać go, — myśli Franek. W jaki sposób znaleźć zgubiony scyzoryk? Pobiegł do Mietka na Jachcice, gdzie był z listem najpierw. Szukał uważnie, ale daremnie. Pobiegł do Edka na Wilczak, ale nie wskórał. Pytał kolegów z Czyżkówka, z Miedzynia i z Okola — niestety wszystko daremnie. Szperał po całym Szwederowie — na próżno. Scyzoryk przepadł, jak kamień rzucony do Brdy, albo do kanału, koło którego Franek przebiegał. Robił wywiad na Bocianowie, dopytywał się na Chwytowiu, lecz niestety wszystek jego trud był daremny. Na Rupienię, na Bartodzieje i na Zimne Wody już nie chodził, bo tam z listem biegał Heniek. Wrócił Franek na Bielawki i aż pozieleniał ze zgrozy. Raźniej na duszy zrobiło mu się dopiero w niedzielę, 30 września. Było święto spółdzielczości. Franek był na mszy św. na Rynku, a później udało mu się ulokować na wielkim ciężarowym samochodzie „Spółem“, na którym widniał wielki napis na plakacie: „Ryba na stół — krowa do obory“. Franek zaraz zrozumiał, o co chodzi. Bardzo mu się podobało takie krótkie, pełne treści powiedzenie. Kilka razy wesoło pokrzykiwał sobie to zdanie podczas jazdy wśród ciekawych tłumów. Na innym samochodzie był duży napis: „Gromada światem włada...“ Prawdziwą miał przyjemność wtedy, gdy dostał całą paczkę ulotek i zaczął swobodnie rozrzucać je z szybko pędzącego auta na wszystkie strony. Papierki fruwały w powietrzu, jak płatki śniegu. Każdy łapał i czytał. Dowiadywał się, co to jest „Spółem“. Dowiadywał się wszystkiego o współdziałaniu, spółdzielczości i spółdzielniach. Było chłodno. Wiał zimny wiatr. Franek zmarzł jak sęk. Aż mu nos posiniał. Przybiegł głodny do domu na obiad. Czuł się bardzo zmęczony. Jedna tylko myśl bardzo mu się podobała i dziwnie jakoś rozweselała. Nie zdawał sobie sprawy z tej myśli. Zaczął myśleć, aż zmęczony zasnął.

We śnie przypomniał mu się zgubiony scyzoryk. Przypomniało mu się, że „gromada światem włada“ i to, że „w jedności siła“. Przypomniał sobie stos cegieł, po których często brykał i zdawało mu się, że rozwiązał jakąś trudną zagadkę. Miał teraz takie dziwne przecucie, że jego scyzoryk może wpadł gdzieś pomiędzy cegły i siedzi w głębokiej szczelinie. Ale cóż on nieborak sam może

zrobić? Żeby ich była duża gromada, to zaraz poradziliby sobie. Każdy zrobiłby trochę i wielki stos cegieł byłby położony. Scyzoryk może by się znalazł. Na drugi dzień po lekcjach Franek zwierzył się ze swych myśli najbardziej zaufanym kolegom: Heńkowi i Ryškowi. Narada była krótka. Dobrzy koledzy uznali, że Frankowi trzeba pomóc. Zwołali całą gromadę swoich kolegów i jazda do roboty! Po półgodzinnej pracy Franek krzyknął radośnie: „Jest!” Błyszczący scyzoryk z pięknej, nierdzewnej stali znalazł się w rękach uszczęśliwionego Franka. Już go teraz nie zgubi.

Wesołym gwizdnięciem podziękował kolegom za pomoc i pogalopował, jak młody żreback. Scyzorykiem strugał, rżnął, krajał, aż wreszcie z wdzięczności dla dobrych kolegów wyrzeźbił na gładkiej deszczulce:

— By wesoło mieć za stołem,
to do pracy ruszaj społem!
By nie tyrać razem z wolem,
to się trzymaj związku „Społem“.
Jest to związek gospodarczy,
co wszystkiego ci dostarczy.

F. Łukasik

ODA DO MŁODOŚCI

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy!
Młodości, podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wleczę światem
W rajska dziedzinę uludy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka w nadziei złote malowidła.

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępymi zakreśla oczy.

Młodości, ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

Patrz na dół. Kędy wieczna mgła zaciemnia
Obszar gnuśności zalany odmećtem —
To ziemia.

Patrz, jak nad jej wody trupie
Wzbił się jakiś plaz w skorupie:
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem...
Goniąc za żywiołkami drobniejszego plazu,
To się wzbija, to w głąb wali —
Nie lgni do niego fala, ani on do fali...
A wtem jak bańka, prysnął o szmat glazu.
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby.

Młodości! Tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dziele.
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nie powiąże złota.

Razem, młodzi przyjaciele!...
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.
Jednością silni, rozumni szale,
Razem, młodzi przyjaciele!...
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległym ciałem

Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem, młodzi przyjaciele!...
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu —
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu.

Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał Hydrze,
Ten młody zdusi centaury,
Piektu ofiary wydrze,
Do nieba pójdzie po laury.
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga,
Łam, czego rozum nie złamie!
Młodości, orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię!

Hej, ramię do ramienia! Spólnymi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej, bryło, z posad świata!
Nowymi cię pchniemy tory.
Aż opleśnialej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Sklóconych żywiołów waśnią,
Jednym „Stań się“ z Bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie,
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnia —
W krajach ludzkości jeszcze noc głucha,
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie...
Oto miłość ogniem zionie.
Wyjdzie z zamętu świat ducha —
Młodość go pocznie na swoim łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie.

Pryskają nieczule lody
I przesady światło ćmiące...
Witaj, jutrenko swobody!
Zbawienia za tobą słońce!

A. Mickiewicz



Powitanie Garnizonu Bydgoskiego

W pochmurny ranek 11 października przyszły dzieci do szkoły z naręczami kwiatów. Ostatnie to już jesienne kwiaty, ale dla kochanego, Polskiego Wojska musiały się znaleźć. Trzeba, żeby ich było dużo.

— Niechaj utrudzony żołnierz choć raz ma ukwiecone życie! — woła z zapalem Danusia.

Długo trzeba było czekać, zanim pokazały się pierwsze kolumny piechoty. Od Olsztyna do Bydgoszczy to ładny kawałek drogi. Ale nareszcie już ich widać. Idą w takt muzyki. Wita ich cała Bydgoszcz i zasypuje kwiatami. A oni idą, aż się ziemia trzęsie. Dowódca ich na wysokiej trybunie, w otoczeniu przedstawicieli władz przyjmuje defiladę. Dumny jest z tego, co razem zrobili. Po krwawych bohaterskich walkach o wolność padł rozkaz: „W kozły broń! Kosy do ręki chwyć!“ Chwycili w swe silne ręce ostre, chłopskie kosy i poszli w pole. Pracowali ciężko przez trzy miesiące. Dziś wracają i meldują: „Trzydzieści jeden tysięcy hektarów zboża skoszonych i sprzątniętych; trzydzieści pięć wagonów wymłóconego ziarna Urzędowi Ziemskim oddanych; część młynów naprawionych; dziesięć tysięcy hektarów zaoranych i obsianych“. — „Dziękuję! Spoczni!“

Uszczęśliwiony dowódca potężnym swym głosem pozdrawia każdą, wyprężoną przed nim kolumnę. Wyraża jej swą pochwałę i podziękowanie. Rozentuzjowana Bydgoszcz wznosi gromkie okrzyki bez przerwy i sypie kwiatami na cześć bohaterów walki i równocześnie bohaterów pracy.

Nikt nie zwraca uwagi, że deszcz zaczął lać jak z cebra. —

*Niechaj sobie deszczuś leje,
polski żołnierz zeń się śmieje.*

— Śmieją się dziewczęta i chłopcy. Wszyscy przemokli do ostatniej suchej nitki, ale nie dali się wystraszyć. Wytrwali do końca.

Wojtek ruszył z miejsca ostatni.

Zapatrzony w postać młodego podporucznika, który prowadził swój pluton z takim przejęciem i z takim bezgranicznym oddaniem całej swej żołnierskiej duszy, że z mokrego bruku iskry sypały mu się spod nóg, Wojtek wracał do domu krokiem twardszym, niż zwykle, z myślą o swej przyszłości. Miał w duszy postanowienie. W jego czystym, chłopięcym sercu zrodziła się pierwsza idea.

F. Łukasik

UMOWA BYDGOSKA

Pewnego październikowego dnia roku 1657 zniszczone wojną szwedzką miasto Bydgoszcz przybrało odświętną szatę. Domy ozdobiono zielonymi girlandami. Z okien zwisają kolorowe dywany. Mieszkańcy miasta, żądni wrażeń, tłumnie zalegają ulice. Przyjazd pary królewskiej oraz dworu stanowi dla nich przeżycie nie lada. Na balkonach wąskich kamienic, otaczających Stary Rynek, ukazują się zamożni mieszczanie. Jedni komentują żywo mający nastąpić zjazd króla Jana Kazimierza i elektora brandenburskiego, inni spoglądają w kierunku kolegium jezuickiego, przed którym ustawiona jest wspaniała brama triumfalna z napisem: „Niech żyje najjaśniejszy król i pan nasz, Jan Kazimierz!“

Nagle słychać wołania: „Już jada! Już jada!“ Okrzyki „niech żyją!“ zwiastują zbliżanie się dostojnych gości. Wśród gromkich wiwatów wspaniała orszak wjeżdża na Stary Rynek. Oczy wszystkich skierowane są na rasową postać króla z płaszczem gronostajowym na barkach. Obok



króla wyróżnia się jego małżonka Maria Ludwika, cała w purpurze, ze złotą koroną na czarnych włosach. Goście wraz z licznym dworem wkrótce znikają za murami kolegium jezuickiego. Zamek bydgoski, odnowiony po niedawnym pożarze, okazał się niedostatecznie przygotowany do przyjęcia pary królewskiej.

W kilka dni później inny pochód sunie, z północy idąc, ku miastu. Przybywa do Bydgoszczy elektor brandenburski z rodziną. Goście przez bramę Gdańską wchodzą do miasta. Mijają klasztor karmelitów, przechodzą przez most na Brdzie, z którego po lewej widać piętrzące się ponad dachami śpichrzów potężne mury zamku bydgoskiego i stają na Starym Rynku przed kolegium jezuickim, gdzie mają zamieszkać. Znowu ludność miasta wylega na ulice, wszakże nie tak tłumnie, jak przed kilku dniami. Może powodem jest deszcz, który od rana pada rzęsiście. Okrzyki powitania również są mniej żywiołowe i raczej skierowane do Jana Kazimierza i jego małżonki, którzy wyjechali gościom naprzeciw. Wiadomo, że elektor w czasie „potopu“ szwedzkiego zdradził Jana Kazimierza, swego pana lennego, łącząc się z królem szwedzkim przeciw Polsce. Podobno zamierzał oderwać od Macierzy zachodnie połacie kraju. Nie udało mu się. Zbyt potężna jeszcze jest Rzeczpospolita.

— Niegodnie postąpił, — mówi jeden z najświetlejszych obywateli Bydgoszczy, dispensator miejski Marcin Margoński do swego kolegi Stanisława Melerkowicza — bo wykorzystał słabość Polski i zwrócił się przeciwko niej.

— Oj, tak, tak — odpowiada jego przyjaciel — dużo ma kłopotu król Jegomość z wiarołomnym sąsiadem. Jako lennik Rzeczypospolitej obowiązany jest do składania jej hołdu. On nie tylko obowiązku swego nie spełnia, lecz jeszcze broń kieruje przeciwko niej. Gdyby nie był gościem najjaśniejszego pana, powitalibyśmy go inaczej — dodaje ciszej.

Na to Margoński: — Mówi się powszechnie, że król zamierza zawrzeć alians z elektorem przeciwko Szwedom. W najbliższych dniach właśnie ma nastąpić uchwalenie odnośnego traktatu.

Melerkowiec potwierdza pogłoskę, wyjaśniając: — Jan Kazimierz z dwojga złego wybrał mniejsze. Zawierając przymierze z Brandenburczykiem, oderwie go od Szweda. Wspólnymi siłami łatwiej zgniotą najeźdźcę.

Obrady toczą się przez szereg dni na zamku bydgoskim. Bierze w nich również udział burmistrz Gdańska, który w dobrych i złych chwilach wiernie stoi przy swoim królu, Janie Kazimierzu. Liczni mężowie stanu jednej i drugiej strony żywo omawiają warunki traktatu. Poważne obrady przerywane są uroczystościami dworskimi i wesołymi zabawami ludowymi. Dnia 6 listopada roku 1657 na Starym Rynku następuje zaprzysiężenie traktatu, na mocy którego elektor brandenburski w zamian za odstąpienie króla szwedzkiego i stawienie Polsce posiłków zwolniony zostaje z obowiązku składania hołdu z Prus Wschodnich.

Po kilku dniach elektor odjeżdża do Brandenburgii.

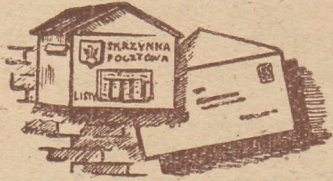
Prusy Wschodnie ostatecznie odpadły od Polski. Kilkadziesiąt lat później, w roku 1701, następca elektora koronuje się królem w Prusiech. Jego wnuk Fryderyk II od chwili wstąpienia na tron czyha na okazję, by móc wydrzeć Polsce Pomorze i stworzyć połączenie między Prusami Wschodnimi i resztą swego państwa.

Joanna Markowska

Przeżycia Janki z czasów wojny

Kamienica, gdzie mieszka Janka, jest duża i szara. Dzisiaj panuje tu ruch wielki. Policja niemiecka wyrzuca ludzi z mieszkań. Mamusia Janeczki pakuje w pośpiechu bieliznę i odzież. Policjant stoi z zegarkiem w ręku. Janka biegnie do kącika z zabawkami. Ona także pakuje swoje lalki. Wszystkie wkłada do pudełka. Ciągnie dużego niedźwiedzia. — Chodź, misiu, ubrać cię muszę. Rozespany miś płacze. — Cicho, cicho, maleńki. Owija go ciepłą kolderką. Całuje kosmatą mordkę niedźwiedzia. Policjant każe z mieszkania wyjść. Wychodzą. Janka jedną ręką obejmuje misia. W drugiej ręce trzyma pudełko z lalkami. Pakują ich do auta. Ciemno. Jakies dziecko krzyczy. Niemowlę kwili. Auto wypełnione Polakami. Jada... Naraz auto zatrzymano. — Wsiadać! W szeregu się ustawić! Muszą maszerować na dworzec kolejowy. Mdleją ręce Janeczki. Idą, idą bez końca. Małe nóżki dziewczynki buntują się. Nie chcą długich kroków stawiać. Janka zostaje w tyle. Nareszcie dworzec. Ludzi pełno. I znowu muszą stać. Wagony już gotowe. Duże, towarowe. Pada rozkaz: — Ręce do góry! Walizki trzeba postawić i ręce w górę rzucić. Stawia Janka pudełko z lalkami. Drugi rozkaz: — Do wagonów wchodzić! Weszli, ale bez walizek, bez paczek. Janeczka tuli do serduszka misia. Gwiżdże lokomotywa. Pociąg rusza w nieznaną jutro.

Helena Jeszkowa



WAŻNE NOWINY

Halinka chciałaby powiedzieć coś swej mamusi. Coś bardzo ważnego. Że niedźwiadek jest brudny, a nie chce się kąpać. Że lalka Funia ma nową sukienkę, ślicznie w niej wygląda, lecz mimo to za kimś tęskni i stale patrzy w stronę drzwi. Choćby ją ułożyć, nie wiem jak, ona wciąż na te drzwi spoziera. Że tatuś o coś wczoraj krzyczał, lecz ona już nie pamięta, o co. A najważniejsze, że Halinka nie może bez mamusi wytrzymać, więc prosi babunię, żeby nie chorowała i mamunię puściła. Ale zaraz, koniecznie zaraz. Bo cały dom czeka na jej powrót, a Halinka najbardziej.

Lecz jak to wszystko powiedzieć, kiedy mamusia jest daleko, gdzieś koło Pily. Pojechała i nie wraca. Wprawdzie Jurek, który zawsze udaje mądrego i dorosłego, choć od swej siostry jest starszy o dwa lata, twierdzi, że z Bydgoszczy do Pily jest blisko i że warto tam pojechać.

Halinkę to nie przekonuje. Niech gada, co kto chce, ona wie jedno, że tylu ważnych nowin opowiedzieć mamusi nie może. Ważnych i pilnych. Co robić?

Dopiero tatuś znalazł sposób. Poradził napisać list. Gdy mamusia go przeczyta, może zdecydować się wrócić do domu.

Halinka jest uszczęśliwiona tą radą. Nie nie zwleka, tylko, zaraz zabiera się do pisania listu. Już widzi, jak ten list po napisaniu będzie wyglądał. No, a potem włoży go do koperty, nakleje znaczek pocztowy i wrzuci do skrzynki. Resztę załatwi poczta.

Dziewczynka klaszcze w dłonie.

Jaka dobra i pożyteczna ta p o c z t a. Dzięki niej mamusia się dowie, co Halinka ma jej do powiedzenia. Jak to dobrze, że ludzie pocztę wymyślili! Pojutrze pewnie mamusia przyjedzie.

Wnet spokorniała. Bo przecież list jeszcze nie napisany. Nawet nie zaczęty.

Czy ma kto ochotę jej pomóc?

W. Dunarowski

Dzień zaduszny

Listopadowy deszcz dzwoni o szyby. W pokoju Wandzi panuje nieład. Pęki wrzosu, gałęzie świerku i jodelki leżą rozrzucone na podłodze. Na stole z daleka widnieją różnego koloru kawałki bibuły krepowej. Zgrabne rączki Wandeczki i jej starszej siostry Jagusi robią kwiatki. Policzki Wandzi płoną. Z główką pochyloną nad ponsową różą wykreca listeczki. Łzy padają na kwiat. Przed oczyma Wandzi staje dzień aresztowania jej drogiego ojca przez niemieckich oprawców. Zabrali go i już nie powróci nigdy. Dreszcz przeszył ciało dziewczynki. — Czyż serea ich kamienne były? Nie! To nie ludzie byli. To chyba dzikie zwierzęta. Smutne rozmyślenia przerwał wejście mamusi.

— Wandeczko, czy już róże gotowe?

— W ten właśnie wieniec wplotę biało-czerwone róże. Symbol niewinnie przelanej krwi za kochaną Ojczyznę. — A ty, Jagusiu, wykończ girlandy. Świerkowych mamy dosyć. Zrób teraz z jodły i wrzosu. — Dobrze, mameczko. — Cisza panuje w pokoju. Od czasu do czasu ciężkie westchnienie wyrwa się z sere dziewczątek — sierot.

Pracę równocześnie skończyły. Mamusia zabiera girlandy. Wandzia niesie chryzantemy i świeczki. Nie śpieszą na cmentarz. Nie. Kroki kierują ku kościołowi. Tu jest grób ich ojca. Mamusia nieznacznie ociera łzy. Girlandą otacza grób. Wandzia wiesza wieniec na krzyżu i szepce: — Tatusiu, jesteśmy wszystkie. Czy nigdy już nie spojrzysz swymi łagodnymi oczyma na nas?

Tymczasem Jagusia stawia doniczkę w pośrodku grobu. Dokoła ustawia świeczki. Dekoracja gotowa. Stała obok matki. Odmawiają wspólnie: — Wieczny spoczynek...

Helena Jeszkowa



HEBLARKA

Franuś mieszka na przedmieściu. Jego rodzice mają tam mały dom z ogródkiem. Dawniej dom ten należał do jego babci.

Tatusz Franka dostał pracę w fabryce mebli. Musi wcześniej wstać, aby zdążyć na szóstą do pracy. Z początku chodził pieszo. Wracał wtedy do domu bardzo zmęczony. Teraz ma rower. Rower — to pyszna rzecz. Tatusz później wychodzi z domu i o wiele wcześniej do domu powraca. Franuś też umie jeździć na rowerze. Tatusz go nauczył w niedzielę. Wprawdzie stoi na pedałach, a prawą nogę trzyma pod ramię, bo jeszcze ma za krótkie nogi, ale co tam. Jedzie i basta. Iu chłopców chciałoby jeździć tak jak on, ale rowerów nie mają.

Tatusz zabiera ze sobą do fabryki kawałek chleba. Obiad dostaje w fabryce. Latem było gorzej. Gdy do domu powracał, już od drzwi wołał: — Jestem głodny, jak wilk. Wszyscy się wtedy śmiali i z ochotą zasiadali do stołu. Obiad był wówczas późno po południu. Teraz jest lepiej. Tato jada obiady w fabryce. Mówi, że tam urządzili stolówkę i wszyscy pracownicy dostają na obiad ciepłą zupę, a rano też kubek gorącej kawy. Franuś ma odtąd obiad zawsze w południe. Wraca ze szkoły — obiad już na stole.

Czasem Franuś idzie z mamą do fabryki. Idą po wióry, których mama potrzebuje w kuchni na opał. Wchodzą na duże podwórze fabryczne. Ile tam desek! Jedne szerokie i grube, inne znów małe i wąskie. Pełno ich w szopach, na podwórku pod oknami. Franuś chciałby mieć parę takich desek. Zrobiłby nową klatkę dla swego króliczka. Naprawiłby to, zrobiliby owo. — Ale żeby miał z czego.

Tymczasem mama jest już u wejścia do piwnicy. Franuś ją dogania. Piwnica jest zapelniona wiórami. U sufitu znajduje się otwór. — Uważaj! — woła mama — bo cię zasypią! — Przez okienko całe stopy wiórów wpadają do piwnicy. Jest tam jeszcze parę kobiet. Czekaają, aż okienko się zamknie. Rozkładają duże worki i szybko zapelniają je wiórami. To od heblarki! — woła mama. — Wióry są grube i suche. Duże deski, widać, heblowali — odzywa się jakaś kobieta.

Heblarka! To właśnie tam jego tatusz pracuje. Surowe deski do maszyny wkłada. Z drugiej strony wychodzą deseczki gładkie, jak lustro, czyściutkie, nowe. Maszyna ma z boku kółeczko. Tatusz kręci raz w prawo, raz w lewo. Reguluje maszynę. Więc deski raz grube, raz cieniutkie wychodzą z maszyny. Ciężka to praca, cały dzień obsługiwać maszynę, potem ją czyścić, a czasem naprawić. Tatusz jest silny i zdrowy. Lubi swoją maszynę. Czasem Franusia zabierze do hali fabrycznej. Jaki tam huk! Motor warczy i huczy. Maszyna pracuje. Tatusz jest jej kierownikiem. Kiedy chce, maszynę zatrzymuje. Potem znów puszcza ją w ruch. Znoszą mu nowe stopy szorstkich i zimnych desek, z podwórka. Maszyna wygładza je i deski szklą się jak tafła szyby. Koło heblarki jest dużo wiórów. Franuś z mamą często po nie przychodzą. Duży worek nimi wypelniają i na wózku przywożą do domu. W ich mieszkaniu nie ma gazu. — Wióry to nasza maszynka gazowa — śmieje się mama. Raz! dwa! i rano na kawę woda gotowa.

Przy kominku

*Miło jest słuchać bajki
W kąciuku, przy kominie;
bez troski, pośród ciszy
opowiadanie płynie.*

*Szeleści zegar stary,
wiatr się za oknem miota,
a tu, jak nić z wrzeczona,
wije się bajka złota.*

*Przez coraz nowe kraje
wije się pięknie, cicho,
dobro ma swą nagrodę,
ucieka psotne lichó...*

*Kiedy królowna zapłacze,
sypią się perły, róże,
królewicz, wojak dzielny,
wszystkie zwycięża burze.*

*Szeleści zegar stary,
wiatr się za oknem miota,
a tu, jak nić z wrzeczona,
wije się bajka złota.*

A. Szczęsny.

Lataw



— Piotrusiu, zrób mi latawca — prosi mały Józio. Przynosi cienkie drewniane listewki, papier, klej i nożyczki. Piotruś długo nie daje się prosić. Zabiera się do pracy. Łamie patyczki, odmierza, klei. Z małych kawałków papieru robi „ogon“.

Józio nawija na szpulkę cienki sznurek.

Latawiec gotowy. Wspaniały, z długim ogonem. Ma nawet rumianą, uśmiechniętą buzię. Biegają chłopcy z latawcem. A on leci wysoko, coraz wyżej. Już są na polu. Tu ludzie kończą wybierać ostatnie ziemniaki. Dziewczynki zbierają je do kosza. Zimno im

w rączki. Śpieszą do ogniska. Przystanęły. Patrzają na latawiec Józia. Jedną z nich, Małgosia, zaprasza chłopców do ognia. Dorzucają suchych łodyg ziemniaczanych. Grzeją rączki. Chociaż im zimno, śmieją się. A tam pod spodem w popiele pieką się kartofelki. I to dużo. Chyba cały tuzin. Cieszą się na nie dzieci. Małgosia stale na latawiec patrzy. Ma wielką ochotę z nim pobiegać. Prosi więc Józia.

— Daj mi go, a ja ci dam pieczonych ziemniaków. — Dobrze — mówi Józio. — Masz, tylko mocno trzymaj, aby ci wiatr nie porwał. Małgosia ścisną szpulkę w rękę. A latawiec leci. Śmieje się do dziewczynki, ogonem kiwa. Wiatr go pędzi ponad dymy ogniska. Aż do chmur.

Tymczasem Piotruś patykiem rozgarnia z popiołu ziemniaki. Dziewczynki z Józkiem podnoszą je. — Uf! Ach! Gorące! — krzyczą na zmianę. Józio z wielkim apetytem je zajada. Spieczona skórka trzeszczy pod zębami. Tak mu smakują kartofelki, że o latawcu zapomniał zupełnie. Naraz usłyszał krzyk Małgosi. Biegnie, a za nim inne dzieci. Stoi dziewczynka, w górę patrzy. Latawiec zaczepił się o gałęzie i urwał się. Teraz wiatr go porwał i niesie daleko. Jest coraz mniejszy. Już tylko widać plamkę. Józio i Małgosia płaczą. Szkoda latawca. Oj, szkoda wielka!

Helena Jeszkowa

DS

JEŻ

Czy ty wiesz, czy ty wiesz,
co się kryje w trawie?
Mały jeż, czarny jeż,
popatrz, tam przy stawie.

A czy wiesz, a czy wiesz?
Czerwone jabłuszka
także lubi mały jeż,
jak pewna dziewczuszka.

Czy ty wiesz, czy ty wiesz,
jak on bardzo kłuje?
Kolce ma mały jeż,
kolcami całuje.



A czy wiesz, a czy wiesz,
komu dał serduszko?
Anię kocha, Wojtka też,
mówił mi na uszko.

Marla Freitażanka